

LIPPOWITZ I INNI, CZYLI RZECZ O POZNAŃSKICH FOTOGRAFACH XIX W.



Wobecnym roku mija równo 170 lat od wydarzenia, które powszechnie uważa się za narodziny fotografii.

Otóż, dnia 7.01.1839 roku, francuski fizyk, przewodniczący Francuskiej Akademii Nauk, Francois Arago, uroczyście, na publicznym posiedzeniu Akademii, ogłosił narodziny nowego wynalazku, od nazwiska odkrywcy Louisa Mande Daguerre'a, nazwanego dagerotypią. W imieniu rządu Francji, Arago wielkodusznie podarował ów wynalazek światu.

Za pierwszą, zachowaną do dnia dzisiejszego fotografię, uznaje się jednak obraz wykonany nie przez Daguerre'a a przez Nicephore Niepce'a. Już w 1826 roku, naświetlając przez 8 godzin w ciemni optycznej (camera obscura) płytkę pokrytą światłoczułym asfaltem, uzyskał on obraz - widok z okna pracowni.

Dagerotypia nie była dziedziną łatwą ani tanią. Do wykonania zdjęcia potrzebna była płytka srebrna, ewentualnie miedziana pokryta srebrem, chemicznie czyste: chlor, brom lub jod oraz rtęć i tiosiarczan sodu. Portretowana osoba sadzana była na fotelu zaopatrzonym w specjalną metalową obręcz do unieruchamiania głowy, naświetlanie bowiem trwało kilka do kilkunastu minut. Wywołany i utrwalony dagerotyp należało oglądać odpowiednio ustawivszy go do światła. W zależności od kąta padania promieni widziało się negatyw albo pozytyw. Wadą dagerotypów była niewątpliwie ich unikatowość. Mógł istnieć tylko jeden egzemplarz danego obrazu.

W roku 1839 ukazał się w Paryżu pierwszy podręcznik fotografii napisany przez samego Daguerre'a – „Historique et description des procédés du daguerre'otype et du diorama par Daguerre”. Dla czytelników znających język francuski był on dostępny w księgarniach całej Polski. Na uwagę zasługuje fakt, że już w roku następnym, czyli 1840, ukazał się, przypuszczalnie w tłumaczeniu hr. Seweryna Mielżyńskiego, wydany w Poznaniu nakładem braci Szerków pierw-

szy polski przekład podręcznika Daguerre'a. To tłumaczenie, wraz z późniejszym tłumaczeniem dokonany przez E. Grabowskiego, stanowiło dla Polaków przez długie lata podstawową lekturę fachową do nauki dagerotypii.

W swej klasycznej formie dagerotypia przetrwała do lat pięćdziesiątych XIX wieku. Z czasem pojawiły się jej modyfikacje. W procesie technologicznym tworzenia obrazu pojawił się negatyw jako ogniwo do tworzenia wielu kopii pozytywowych, najpierw kilku aż do ilości praktycznie nieskończonej. Końcowy obraz powstawał już na papierze, co w znacznym stopniu zredukowało koszty wytworzenia fotografii.

Pierwszy dagerotyp dotarł do Poznania w 1841 roku. Był to specjalnie sprowadzony z Paryża przez znanego wówczas księgarza i wydawcę Jana Konstantego Żupańskiego, wystawiony w oknie jego księgarni w kamienicy przy Starym Rynku pod numerem 8, widok Luwru; natomiast pierwszą, oglądaną w Poznaniu, fotografią wykonaną na papierze był portret Karola Libelta, przywieziony przez



Widok z okna - pierwsza, udana, trwała fotografia wykonana przez Josepha Nicéphora Niépce w 1826 roku. Źródło <http://pl.wikipedia.org/wiki>

niego z Frankfurtu n/Menem. Obraz jednak był na tyle niedoskonały, że nawet najbliżsi mieli kłopoty z rozpoznaniem rysów twarzy.

Pierwszym, który w Poznaniu zajął się dagerotypowaniem był Wiktor Kurnatowski. Wykonał on, wraz z hr. Sewerynem Mielżyńskim, w roku 1843, pierwsze w naszym mieście dagerotypy. Były to głównie portrety znajomych i przyjaciół i nie były wykonywane w celach zarobkowych. Kurnatowski był znanym i cenionym litografem. Był członkiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, jednym z najbardziej czynnych konspiratorów w Wielkopolsce w latach czterdziestych XIX wieku. W 1846 roku, w trakcie przygotowań do powstania został aresztowany i w tymże roku popełnił samobójstwo w więzieniu w Sonnenburgu.

Źródłem naszej wiedzy o pierwszym, profesjonalnym zakładzie dagerotypowania w Poznaniu są dwa ogłoszenia prasowe, z lat 1848 i 1855, a przede wszystkim nieoceniony kronikarz dziewiętnastowiecznego Poznania Marceli Moty. W swoich „Przechadzkach po mieście” pisze on:

Pierwszym, który u nas z nowego wynalazku korzystał, był naturalnie Niemiec, nazwiskiem Lippowicz. Tego Lippowicza, którego pradziad, nawiasem mówiąc, był niewątpliwie jakiś poczciwy Lipowicz, poznałem już trzydziestego ósmego roku w Lesznie, gdzie miał aptekę i gdzie mu się dobrze wiodło”. Następnie Lippowicz „sprzedał aptekę, sprowadził się do Poznania, (...) ulegał wrażeniom nowości i zapalił się do daguerotypii. Założył więc najpierw pracownię tego rodzaju w ogrodzie Żychlińskiego przy ulicy Fryderykowskiej i daguerotypował, co się dało.

Ale mu to jednak dość gładko nie szło (wiem z doświadczenia, bo nieraz u niego bywałem), chemikalia często nie dość silnie gryzły, płyty często się psuły, a ponieważ taka operacja była wówczas stosunkowo dość drogą i trwała długo, bo trzeba było dwa, trzy i więcej razy siadać, przeto finansowa strona procederu pozostawiała wiele do życzenia. (...) Przy tym chociaż poświadczyć mogę, iż pod względem narodowym dalekim był od terazniejszych dla nas germańskich uczuć, mocno się jednak polskiemu światu naraził.

Istotnie, tego co zrobił Lippowicz, społeczeństwo polskie w Wielkopolsce, długo nie mogło mu zapomnieć. Był rok 1848, rok Wiosny Ludów. W Wielkopolsce wybuchło powstanie. Zaborca potraktował je z niespotykaną w późniejszych epokach łagodnością. Daleko jeszcze było do czasów bismarckowskich a tym bardziej hitlerowskich.

Otóż zdarzało się, (...) że powstańcy schwytani i w cytadeli osadzeni, gdy ich wypuszczono, wracali do obozów lub partii, chociaż przyrzekli, że do domu wrócą spokojnie. (...) Postanowiono więc uciec się do chemii. Wezwano Lippowicza jako znawcę, a on zgotował

miksturę z piekielnego kamienia, jak mi się zdaje, którą każdemu schwytanemu smarowano jedno ucho i jedną rękę, aby go przy powtórnym pojmaniu poznać i odpowiednio ukarać.

Kamień piekielny, to nic innego jak roztwór azotanu srebra, z którego, pod wpływem promieni słonecznych, wytrąca się molekularne srebro o intensywnie czarnym zabarwieniu. Zabarwienie było środkami domowymi praktycznie nieusuwalne, tak więc czarne ucho i czarna ręka jeszcze przez kilka miesięcy zdradzała powstańca. Tak długo, aż nie złuszczył mu się naskórek. Jak świadczy Motty:

Lippowitz był bardzo zawstydzony, gdy mu kto potem wspomniał o jego cytadelowych malaturach.

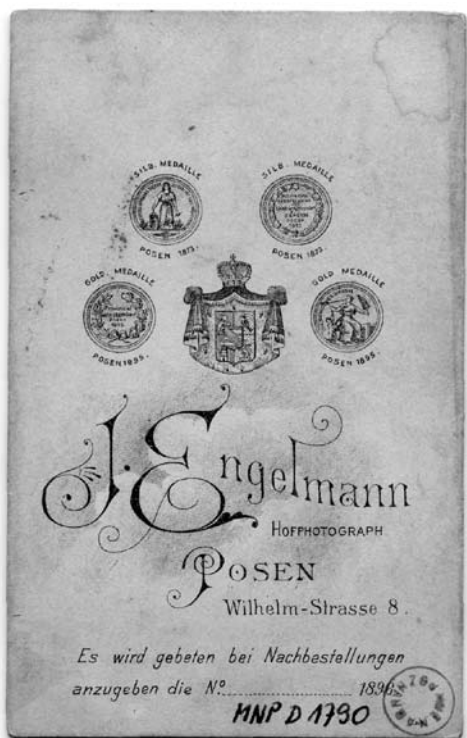
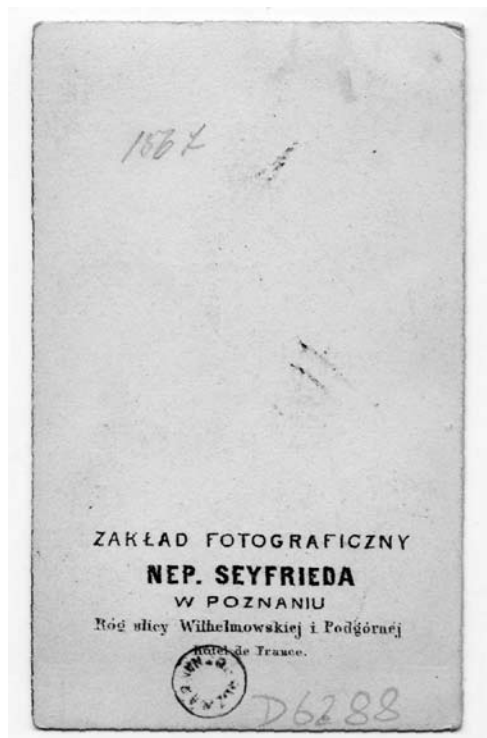
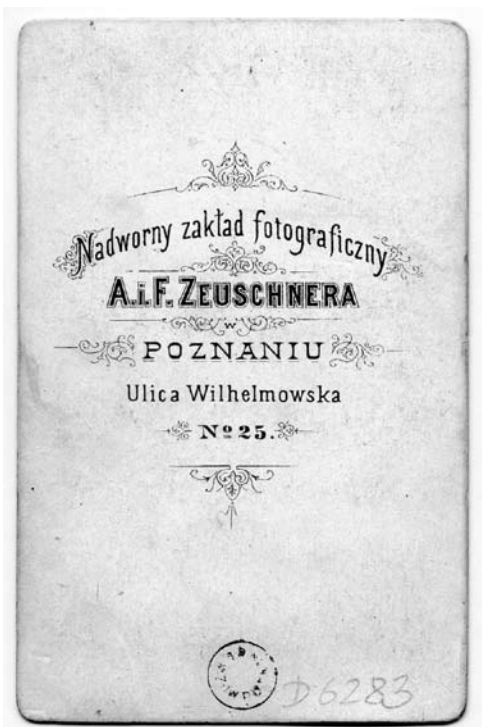
Te sprawy a może po prostu pech w interesach a na pewno wzrost konkurencji w dziedzinie fotografii, sprawiły, że Lippowitz, aby utrzymać rodzinę, zmuszony był się przebrnąć. W swej działalności pozostał jednak nadal wierny swemu wykształceniu. W podpoznańskiej wsi Jeżyce założył pierwszą w całej Wielkopolsce wytwórnię nawozów sztucznych. Własnym sumptem wydał broszurę, coś na kształt współczesnego druku reklamowego, szczegółowo opisującą procesy technologiczne stosowane w swojej fabryce. A były to przedsięwzięcia pionierskie, przynajmniej na skalę prowincji poznańskiej. O ostatnim okresie kierowania fabryką pisze Motty:

Raz go tam odwiedziłem, był zniechęcony, schorzały, a wkrótce potem, oddawszy interes w inne ręce, wyprowadził się, jak słyszałem, do Berlina.

Pisząc o Lippowitzu należy wspomnieć o jego znaczącym wkładzie w dziedzinę fotometrii. W roku 1844, na łamach prestiżowego pisma „Poggendorfs Annalen der Physik und Chemie” opisał działanie pierwszego na świecie światłomierza optycznego. Po dłuższej jednak polemice, na łamach owego pisma, z adwersarzami swojego wynalazku, zaniechał dalszej walki i jego odkrycie poszło w zapomnienie.

W konkluzji można stwierdzić, że Aleksander Lippowitz był bardziej teoretykiem, idealistą z głową pełną pomysłów, niż praktykiem. Na żadnym z prowadzonych przez siebie interesów fortuny nie zdobył.

Znacznie lepiej powiodło się jego konkurentom, niemieckim i żydowskim, którzy wkrótce po nim założyli pracownie fotograficzne. Każdy z nich dorobił się niezłego majątku.



Reprodukcje winiet ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Poznania

Pierwszym Polakiem, który poszedł w ich ślady, był Nepomucen Seyfried. Postać niezwykle barwna – malarz, fotograf a przede wszystkim, wielki patriota, uczestnik Powstania Styczniowego. Do Poznania przybył ze Wschowy w roku 1868. W powszechnym zwyczaju było, że wychodzący do powstania zostawiał rodzinie swą fotografię; mógł przecież nie wrócić. Takich fotografii, nierzadko w uniformie powstańca, z atrybutami typu karabin lub choćby strzelba myśliwska, wykonał Seyfried bardzo wiele, czyniąc często w ten sposób powstańcom niedźwiedzią przysługę. Fotografie, w przypadku znalezienia ich w trakcie przeprowadzanych przez carskich żołdaków rewizji w inwigilowanych domach, były traktowane jako dowód rzeczowy uczestnictwa w powstaniu.

Zakład Seyfrieda działał w pawilonie szklanym zbudowanym u zbiegu ulic Wilhelmowskiej i Podgórnjej. Później przeniósł się na ul. Podgórną, a wreszcie na Groblę. Po zakończeniu kariery fotografa, zajął się Seyfried w latach osiemdziesiątych wyłącznie malarstwem. Namalował między innymi obraz na zewnętrznej ścianie kościoła św. Małgorzaty na Śródcie.

Z pośród wszystkich, działających w dziewiętnastowiecznym Poznaniu zakładów fotograficznych, największą, jak się wydaje, renomę, posiadał „salon szklany” A. i F. Zeuschnerów, działający przy ul. Wilhelmowskiej 25. Założył go, najprawdopodobniej, najstarszy z trojga rodzeństwa, August, który przyszedł na świat w Międzyrzeczu jako syn lekarza powiatowego. W 1839 roku studiował w Berlinie malarstwo, nie uzyskawszy jednak stypendium o które zabiegał, porzucił studia, przybył do Poznania i poświęcił się fotografii. Jego malarskie wykształcenie nie poszło jednak na marne. Tworzone w zakładzie fotografie cechowały się dużym wyczuciem smaku artystycznego z równoczesną dbałością o stronę techniczną odbitek. August nie zapomniał również o malarstwie. Znane są jego obrazy przedstawiające m.in. członków loży masońskiej. Po latach działalności uzyskał August godność fotografa nadwornego.

Oprócz wcześniej wymienionych działali w Poznaniu jeszcze inni. Najbardziej znany to, przybyły z Inowrocławia, Henryk Engelmann. Największy rozkwit jego pracownia przeżyła już po śmierci założyciela. Jego syn, praktykując u wielu europejskich fotografów, poznał arкана rzemiosła jak mało kto. Dał się poznać jako świetny portrecista. Uzyskał dużą popularność i przydomek „fotografa pięknych pań”.

Równocześnie z Engelmannem rozpoczął w Poznaniu działalność Bernard Filehne. Działał on jednak znacznie krócej. Znane też były zakłady Mirskiej, Wechśła, Szymanowicza, Grześkowiaka, Hanemanna, Janowskiego, Pomorskiego, Andersa i innych.

Jak skrupulatnie obliczyła Magdalena Warkoczewska, autorka wielu cennych opracowań dotyczących dawnego Poznania, w latach 1855–1899 działało w stolicy Wielkopolski 48 fotografów zawodowych. Niektóre z pracowni istniały tylko kilka miesięcy. Najwyższa ich liczba przypada na koniec wieku. Wtedy pracowało ich w mieście 17.

W tym miejscu wypada również wspomnieć o niemałej, szczególnie w latach dziewięćdziesiątych, rzeszy amatorów fotografów, którzy działając, czy to tylko dla przygody z nowinkami technicznymi czy też mając w zamiarze szczytny cel dokumentowania otaczającej ich rzeczywistości, wykonywali zdjęcia ówczesnego Poznania. Część tych fotografii przetrwała do dnia dzisiejszego. O ileż uboższa byłaby wiedza o czasach minionych bez tych obrazów.

Na koniec nie mogę oprzeć się chęci, aby przytoczyć znamienne i trafne sprostowanie dziewiętnastowiecznego publicysty, Marcina Olszyńskiego:

A jednak po nas nie pozostanie nic na tym świecie, jedyna tylko fotografia przypominać nas będzie naszej rodzinie i naszym potomkom.

Myszę, że każdy genealog może pod tymi słowami podpisać się obiema rękami.